

KATASTROFA SMOLEŃSKA A GEOPOLITYKA LECHA KACZYŃSKIEGO

Jan Filip Stanilko, Instytut Sobieskiego

(Publikacja pochodzi z książki "Katastrofa: bilans dwóch lat", wydanej przez Instytut Sobieskiego w ramach obchodów 2. rocznicy katastrofy smoleńskiej).

Z punktu widzenia Berlina, Lech Kaczyński był wyjątkowo trudnym i niewygodnym partnerem. Domagał się on bowiem pełnego głosu dla krajów tzw. Nowej Europy w decydowaniu o kształcie Unii Europejskiej, co budziło irytację starych państw Unii. Utrudniał odbudowę, ponad głowami krajów leżących pomiędzy, bliskiego sojuszu niemiecko-rosyjskiego, który od czasu rozbiorów Polski był tradycyjną formą relacji tych dwóch państw. Po rozpadzie Związku Sowieckiego Niemcy, akceptujące dotąd protektorat USA i cieszące się darmowym parasolem bezpieczeństwa, ponownie uznały Rosję za kraj sobie przyjazny i stopniowo zaczęły dążyć do wyprowadzenia wojsk USA ze swojego terytorium. Tymczasem Lech Kaczyński, dążył do coraz silniejszej obecności USA na terenie Polski i ogólnie dawnego bloku sowieckiego. Ewentualne przesunięcie amerykańskich sił z Niemiec do Polski, w połączeniu z asertywną polityką największego kraju w Europie Środkowej, byłoby mocno niekorzystne dla Berlina, który systematycznie stara się budować dominującą pozycję w regionie, rozbudowując więzi gospodarcze, inwestując w lokalne elity i kreując politycznych liderów. W tej sytuacji Berlin stawał się też naturalnym partnerem dla Rosji.

Jeśli chodzi o politykę Moskwy, działania Lecha Kaczyńskiego uderzały praktycznie we wszystkie istotne punkty rosyjskiej strategii odbudowy wpływów po rozpadzie ZSRR. Po pierwsze, Rosja – w momencie słabości - zgodziła się warunkowo na wejście krajów środkowoeuropejskich do NATO, ale za cenę braku trwałych instalacji sojuszu oraz nieobecności dużych amerykańskich zgrupowań taktycznych w tej części Europy. Budowa amerykańskiej tarczy antyrakietowej, z jednej strony łamałaby to kuluarowe porozumienie, z drugiej zaś została w rosyjskich kręgach wojskowych uznana za działanie potencjalnie zachwiające równowagą potencjałów militarnych (atomowych), ustanowioną jeszcze w czasach zimnowojennych. Stąd tak niechętnie i agresywne zachowania Moskwy wobec wysiłków rozmieszczenia w naszym kraju instalacji tarczy antyrakietowej, jak groźba wycelowania w Polskę rakiet atomowych oraz rozmieszczenie w obwodzie kaliningradzkim rakiety Iskander. Po drugie, działania Lecha Kaczyńskiego zmierzały do zakwestionowania przyjętej w latach 80-tych rosyjskiej strategii budowania imperialnych wpływów za pomocą utrzymywania monopolu na dostawy nośników energii. Strategia ta – zwana doktryną Falina (od nazwiska szefa Wydziału Europy Wschodniej KPZR, Pawła Falina) – zastąpiła tzw. doktrynę Breżniewa, której ostatnim aktem był wprowadzany w Polsce przez gen. Jaruzelskiego stan wojenny. Zastosowaniu doktryny Falina w dziedzinie dostaw gazu poświęcony był np. doktorat Władimira Putina. Budowa gazoportu w Świnoujściu, próby uruchomienia rurociągu Sarmacja (Odessa-Brody), czy budowania skoordynowanej regionalnej polityki energetycznej państw Europy Centralnej i Azji Centralnej, uderzały w podstawy rosyjskiego monopolu energetycznego.

Po trzecie wreszcie, polityka Lecha Kaczyńskiego zmierzała do politycznego zintegrowania krajów Europy Środkowej i Wschodniej.

Działania prezydenta nie przyniosły spodziewanych szybkich skutków, bo też tego typu wysiłki rzadko kończą się szybkim powodzeniem, jednak w oczach rosyjskich strategów i elit politycznych ich logika była całkowicie jasna i niebywale szkodliwa dla rosyjskich zamierzeń. Prezydent Kaczyński dążył bowiem do zbudowania trwałej koalicji Polski – jako lidera Europy Środkowej – nie tylko z krajami tzw. nowej Europy, ale również z krajami tzw. BUMAGI, czyli Białorusi, Ukrainy, Mołdawii, Azerbejdżanu, Gruzji i Armenii. Ta strategia zbudowana była na tradycyjnym polskim myśleniu geopolitycznym, którego korzenie sięgają czasów jagiellońskich. Po dojściu do władzy Donalda Tuska te założenia polskiej polityki zagranicznej zostały natychmiast zakwestionowane przez rząd. Minister Radosław Sikorski w swoich publicznych wypowiedziach kilkakrotnie wyśmiewał założenia strategii geopolitycznej Lecha Kaczyńskiego, nazywając ją „prometejską” (choć tak nazywali ją także jej przedwojenni autorzy) i przeciwstawiał jej strategię całkowitego niemal skoncentrowania się na sprawach Unii Europejskiej – wpisania interesu europejskiego w interes polski. Lech Kaczyński wyznawał tu w istocie przeciwną filozofię. Podobnie jak większość silnych krajów UE, uważał, że to interes państwa narodowego – Polski – powinien zostać uznany i uszanowany przez innych graczy i wpisany w interes europejski.

ELITY POLSKIE A ELITY ROSYJSKIE

Niestety dla prezydenta Kaczyńskiego, ta asertywna koncepcja polskiej geopolityki nie była życzliwie przyjmowana przez krajowe elity intelektualne oraz media,

a co za tym idzie również nie rozumiał jej ogół obywateli. Perspektywę tę trudno w Polsce propagować, ponieważ opiera się ona na założeniu twardego targowania się o swoje interesy na forach międzynarodowych oraz na uznaniu za konieczny wysiłku budowania silnych struktur realizujących ambitne zamierzenia. Innymi słowy, jest to filozofia oparta na założeniach tradycyjnego realizmu w stosunkach międzynarodowych. Tymczasem jako Polska, nie posiadamy ani utrwalonej narodowej strategii geopolitycznej, ani wykształconych w realistycznym duchu elit politycznych i państwowych.

Z jednej strony jest to problem kulturowo-historyczny. Sprowadza się on w dużej mierze do źródła przyczyn i skutków utraty niepodległości w zarania XIX w. Polacy nie wypracowali swojej doktryny międzynarodowej, tak jak zrobili to np. Rosjanie, Niemcy, Francuzi, czy Szwedzi. Literatura poświęcona definiowaniu pryncypiów polskiej geopolityki w oparciu o paradygmat realistyczny, stworzona na przestrzeni ostatnich pięciu wieków zmieściłaby się na jednej półce. Co więcej, ta literatura jest generalnie dzisiaj raczej trudno dostępna i po prostu nieznaną. Nie uczy się w oparciu o nią ani dyplomatów, ani żołnierzy, ani akademików zajmujących się bezpieczeństwem. Innymi słowy, polskie elity zajmujące się sprawami międzynarodowymi w praktyce często nie rozumieją polskich interesów i posługują się schematami i mapami mentalnymi wytworzonymi w oderwaniu od nich. Polską dyplomację i kadre oficerską, z którą weszliśmy w nowe realia po 1989 r. ukształtowała konsekwentna i przemyślna polityka sowieckiego hegemonu. Istniała właściwie nieprzerwana historyczna ciągłość kadrowo-rodzinno-intelektualna między tzw. kujbyszewiakami, których Stalin przygotowywał w latach 40. do roli namiestników podbitej Polski, a elitą oficerów WSI, sztabu generalnego i polskiej

dplomacji. Do połowy lat 60. kadrami i sztabem Ludowego Wojska Polskiego kierowali radzieccy generałowie, którzy przekazali tę władzę gen. Jaruzelskiemu, czyli specjaliście od komunistycznego wychowania wojskowego. Biografia generała pokazuje, że poza nazwiskiem i pochodzeniem klasowym, był to w praktyce po prostu generał rosyjski. Gen. Jaruzelski był przy tym patronem najważniejszych oficerów polskiej armii a nominacje generalskie były z nim konsultowane jeszcze długo po 1989 r.

Elita armii i dyplomacji krajów satelickich kształciła się na moskiewskich uczelniach, ale Rosjanie dbali o to, by wykształcenie strategiczne zawsze pozostawało ich monopolem. Stąd polska generalicja składa się ze specjalistów od taktyki, a polska dyplomacja ze specjalistów od praw człowieka, procesów rozbrojeniowych i akcji humanitarnych. Do tej pory około połowy wysokich rangą dyplomatów jest absolwentami MGIMO – moskiewskiej akademii dyplomatycznej – a duża część polskiej generalicji nadal składa się z absolwentów Akademii im. Klimenta Woroszyłowa. Polska po 1989 r. nie zbudowała od podstaw szkół kształcących - suwerennie myślące i uczące się trudnej sztuki definiowania interesów strategicznych - kadry dyplomacji i wojska, lecz po prostu poprzestała na szkołach odziedziczonych po starym systemie, tj. będącym zapleczem MSZ, wydziale Stosunków Międzynarodowych UW, którego patronem był należący do ZSL prof. Józef Kukułka oraz zsovietyzowanej Akademii Obrony Narodowej.

Z kolei opozycyjne kadry dyplomatyczne, wprowadzone do MSZ po 1989 r., nosiły silne znamię poglądów swojego patrona - prof. Bronisława Geremka, człowieka szerokich horyzontów, ale nieuleczalnego frankofila i wieloletniego członka PZPR, ze znaczącym epizodem pracy dla systemu pod koniec lat 60., gdy szefował Instytutowi Kultury Polskiej w Paryżu. W tej sytuacji szefowie polskiej dyplomacji po 1989 r. nawet jeśli pochodzili z obozu prawicowego nie mogli liczyć na komfortową sytuację, w której podlegający im aparat twórczo rozwijał ich myśl. Wręcz odwrotnie, zazwyczaj zajmował się on torpedowaniem ich nazbyt śmiałych idei. Aparat ten był zresztą tradycyjnie źleopłacany, zdemoralizowany i zazwyczaj marzył o możliwości przeniesienia się ze struktur krajowych do jakichś lepiej płatnych ciał międzynarodowych – kiedyś ONZ, później UE.

Trudno zatem dziwić się, że myślenie geopolityczne Lecha Kaczyńskiego napotykało na taki opór. Miało ono bowiem charakter w istocie kontrkulturowy. Polskie elity państwowe oraz intelektualne nie zmieniły z dnia na dzień swojej tożsamości, ani też nie podlegały istotnej wymianie i tak jak niegdyś ich naturalnym kanonem myślenia jest spolegliwość wobec naszych historycznych hegemonów oraz nadmierna czułość na zewnętrzną krytykę. W tej sytuacji polskie społeczeństwo hołdujące raczej sentymentalno- naiwnej wizji polityki międzynarodowej, nie ma okazji nauczyć się bardziej dojrzałego myślenia o interesach zagranicznych swojego kraju i polityce je realizującej. Z tej perspektywy, dość jasno widać, że elity rosyjskie są praktycznie negatywem elit polskich. Należy pamiętać, że w przypadku elit polskich problem zawsze polega na ich ignorancji w sprawach międzynarodowych, natomiast w przypadku elit rosyjskich ich problemem jest kompulsywny imperializm. Narodowa tożsamość Rosji ukształtowała się w ścisłym związku z ideą imperialną, a w przeciwieństwie do Wielkiej Brytanii, kraj ten nie przeszedł bolesnego procesu powolnej dekolonizacji.

Rosja swoje kolonie – zwane satelitami - w Europie Centralnej straciła

ledwie 20 lat temu. Był to proces gwałtowny, bo wynikający z wewnętrznego kryzysu w samym ZSRR. Utrata kontroli nad tzw. blokiem sowieckim nastąpiła najpierw w wyniku załamania w gospodarce radzieckiej i wymuszonego przejścia na rozliczenia handlowe w tzw. twardych walutach, a następnie w wyniku załamania się politycznej transformacji i będącego jej skutkiem rozpadu ZSRR. Oznacza to, że elity rosyjskie gdy tylko kraj odzyskał sterowność powróciły do tradycyjnego myślenia w kategoriach stref uprzywilejowanych interesów, czyli tzw. bliższej zagranicy. Oznacza to także, że – tak jak w krajach będących koloniami dawnych potęg zachodnioeuropejskich – w Polsce i innych dawnych krajach satelickich pozostała sprzyjająca Rosji część lokalnych elit.

W procesie budowy imperium Rosjanie wypracowali przez ostatnie trzy stulecia niebywale zaawansowaną kulturę myślenia strategicznego.

Poczynając od rozbiórów Polski, poprzez rywalizację z otomańską Turcją, wojny z Napoleonem, Kongres Wiedeński podbój Kaukazu i Syberii, rosyjskie elity doskonały strategie imperialne. Z racji wielkości swojego kraju, horyzont ich myślenia obejmuje całą Eurazję. Rosjanie w ostatnich stu latach toczyli wojny z najsilniejszymi państwami świata – Japonią, Niemcami i USA. Ich myśl wojskowa, obok niemieckiej i amerykańskiej stanowi szczytowy dorobek intelektualny XX w. w tej dziedzinie. Rywalizacja zimnowojenna – obejmująca wszakże cały glob – pozostawiła Rosji olbrzymi aparat analizy i kadr dyplomatycznych. Pozostawiła też rzecz właściwie unikalną w skali świata, gigantyczny aparat służ specjalnych. Należy pamiętać, że państwo bolszewickie powstało w wyniku spisku, stąd myślenie bolszewickie zawsze opierało się na strategiach spiskowych. Co więcej, Rosja bolszewicka oparta była o odziedziczony po swojej carskiej poprzedniczce aparat opresji. To w obrębie tego aparatu – jego wojskowej (GRU) i cywilnej części (KGB) – zachowały się i rozwijały kanony myślenia strategicznego oraz zaawansowane techniki podboju, manipulacji, dezinformacji, czy wreszcie skrytobójczej likwidacji wroga.

Należy również pamiętać, że dzisiejsze elity Rosji to po prostu aparat służb specjalnych, który zrzucił z siebie kontrolę zgnilej i zdemoralizowanej partii komunistycznej. Rosja jest państwem rządzonym przez zawodowych agentów służ specjalnych. Jak wykazali jakiś czas temu O. Krysztanovska i S. White rosyjskie elity polityczne i finansowe w 70% składają się z dawnych lub obecnych pracowników KGB i GRU. Liczba pracowników FSB od 1999 r. wzrosła od nieco ponad 70 tys. do ponad 350 tys. funkcjonariuszy w 2008 r. Prof. Włodzimierz Marciniak na jednej z konferencji użył takiego oto określenia: „Rosja to grupa przestępcza, która próbuje przekonać świat zewnętrzny, że jest państwem.” Rosyjskiemu establishmentowi, który składa się z agentów, żołnierzy oraz obsługujących ich finansistów, z pewnością nie przyświeca dzisiaj jakakolwiek prometejska idea na podobieństwo komunizmu. Jego najwyższą wartością jest po prostu pieniądz. Zawołanie dzisiejszej elity rosyjskiej mogło by brzmieć „In money we trust”, bowiem jest to nihilistyczna wspólnota połączona wysoką skłonnością do przemocy oraz zamiłowaniem do bogactwa.

PRZEMOC, DEZINFORMACJA, MANIPULACJA

Znakiem firmowym ekipy Władimira Putina jest szczególny rodzaj ‘soft power’ oparty o stosowanie przemocy. Rosjanie często dobrze rozumiejąc wewnętrzne problemy swojego państwa – jego zacofanie i skorumpowanie – uważają, że skutecznym narzędziem realizacji swoich interesów będzie rozpowszechnienie opinii o ich bezwzględności w stosowaniu przemocy. Tak jak Amerykanom obsesyjnie zależy na utrzymywaniu poczucia atrakcyjności, tak Rosjanom z ich charakterystycznymi dla mentalności sowieckiej kompleksami, rodzącymi poczucie stałego zagrożenia ze strony wrogów otaczających Rosję ze wszystkich stron, zależy na tym, aby się ich bano.

I tak poczynając od upadku Michaiła Chodorkowskiego, którego los stał się czytelnym sygnałem dla reszty postnomenklaturowych oligarchów (często żydowskiego pochodzenia, jak np. Roman Abramowicz, czy Wiktor Wekselberg), **aby porzucili ambicje polityczne** - władza w Moskwie co jakiś czas wysyła dyscyplinujące sygnały i buduje swój kapitał lęku. Los Zelimchana Jandarbijewa, byłego prezydenta Czeczenii, zamordowanego w katarskiej Dausze przez dwóch agentów FSB był ostrzeżeniem dla innych polityków o separatystycznych ambicjach, aby porzucili nadzieję. Los Anny Politkowskiej, był ostrzeżeniem dla środowisk dziennikarskich, aby nie były nazbyt dociekliwe w śledzeniu interesów finansowych elit. Los płk. Aleksandra Litwinienki – byłego zawodowego porywacza i specjalisty od przesłuchań – ostentacyjnie zabitego wyszukaną trucizną w Londynie, był ostrzeżeniem dla innych zmęczonych swoją trudną pracą lub ogarniętych wyrzutami sumienia agentów, aby skoro już uciekają na Zachód nie informowali wszystkich o kulisach poczynań aktualnych władców Kremla. (Nie jest przypadkiem, że inni podobni uciekinierzy – Suworow, czy Gordijewski – zajmują się pisaniem książek historycznych).

Ciekawe, że większość powyższych spraw prowadził ten sam prokurator, który obecnie zajmuje się prowadzeniem... śledztwa ws. katastrofy smoleńskiej - Jurij Czajka. Zasłynął on m. in. przypisaniem morderstwa Litwinienki siedzącemu pod granicą mongolską Chodorkowskiemu. W tym kontekście całkowicie zasadnym jest zatem postawienie pytania, czy katastrofa smoleńska również nie wpisuje się w ten ciąg „komunikatów”. Ludzie poważni, rozumiejący rosyjskie metody działania lub po prostu myślący, jak dorośli muszą postawić sobie pytanie: **Czy prezydent Kaczyński mógł zginąć, w ramach ostrzeżenia dla wszystkich przywódców krajów postsowieckich, aby nie podejmowali nazbyt ambitnych przedsięwzięć strategicznych, stojących w sprzeczności z rosyjskimi dążeniami imperialnymi?** Uderzenie w pasterza, prowadzi wszak do rozpieczęcia się stada. W zwichrowanym umyśle polskiego inteligenta pojawi się w tym momencie natychmiastowa lękowa reakcja wyrażona w formie zarzutu, że przecież jest to myślenie spiskowe. Odpowiedź właściwa brzmi następująco: tak, jak najbardziej jest to myślenie spiskowe i jest ono najzupełniej zasadne, ponieważ z jednej strony spiskowo myślą i działają sami Rosjanie⁸⁵, a z drugiej strony, hipotezy spiskowe z zasady są podstawowym sposobem ochrony własnej wolności. Nie jest wszak przypadkiem typowo republikańska obsesja spiskowa, którą hołubią zarówno lewicowi, jak i prawicowi Amerykanie. Naiwność polegająca na dezawuowaniu hipotez spiskowych, cechująca myślenie współczesnych Europejczyków, świadczy z kolei o ich zdziecinnieniu i stracie instynktu politycznej wolności.

Problem tak naprawdę leży w zupełnie innym miejscu. My po prostu nie wiemy i najprawdopodobniej nigdy się nie dowiemy, czy był to zamach będący wynikiem spisku, czy po prostu zwykły wypadek, spowodowany ludzkim błędem lub techniczną awarią. Tak, jak do tej pory nie wiemy, co zdarzyło się na Gibraltarze 1943 r. i tak, jak długo oficjalnie nie mieliśmy prawa wiedzieć, co zdarzyło się w Katyniu. Innymi słowy, nawet jeśli katastrofa smoleńska jest zwykłym wypadkiem, Rosjanie zrobili wszystko, by mogła ona ostatecznie wyglądać na zamach – wycięli drzewa, pocięli wrak, nie przekazali nagrań z wieży itp. A zrobili tak, ponieważ jest to zgodne z ich tradycyjną polityką wyciągania dla siebie korzyści z każdej możliwej sytuacji. Cały rozwój wydarzeń, działania Międzypaństwowego Komitetu Lotniczego i Komitetu Śledczego Prokuratury Generalnej zdają się potwierdzać tezę, że celem rosyjskich władz nie jest bynajmniej zachowanie wiarygodności, ale ponowne potwierdzenie aktualności starej sowieckiej zasady: „Nie muszą nas szanować, wystarczy, żeby się nas bali.”

Obok kapitału strachu, innym tradycyjnym narzędziem działania Rosjan jest dezinformacja. Jak ujął to w jednym z wywiadów prof. Włodzimierz Marciniak: „Widać wyraźnie, że sytuacja jest nowa, a instrukcje stare, o czym świadczy ta ilość dezinformacji ze strony rosyjskiej: te opowieści o czterech podejściach do lądowania, o winie pilota. Przypomnę, że o czterech podejściach do lądowania mówił sam naczelny dowódca wojsk lotniczych.” Rosjanie reagują zazwyczaj według tego samego schematu. „Dezinformować i zaprzeczać. Cokolwiek by się zdarzyło, iść w zaparte i rozsiewać mgłę. Taka jest zasada tego systemu, by – jeśli naprawdę coś się stało – nie dojść winnego. Zresztą winni zawsze są obcy: polscy piloci, czeczeńscy terroryści, Gruzini, wszystko jedno, byle nie my.” Rosyjskie kłamstwa są w tym samym stopniu również narzędziem polityki wewnętrznej – tak było przy katastrofie w Czernobylu, jak i przy niedawnej katastrofie elektrowni wodnej sajańsko-szuszeńskiej, tak samo było sześć lat temu przy Biesłanie i przy tragedii okrętu „Kursk”. Pierwszą reakcją jest zawsze dezinformacja. Dopiero potem ocenia się, jak można to wykorzystać. Ostatecznie pamiętać należy, że Rosjanie do najwyższych poziomów doprowadzili sztukę manipulacji. Po zastopowaniu najpierw armii Tuchaczewskiego u bram Warszawy w 1920 r., a następnie po zdezawuowaniu potęgi pancерnej Stalina przez Alberta Wholstettera i jego doktrynę wzajemnie gwarantowanego zniszczenia atomowego, Rosjanie wiedzieli, że podbój świata nie może się udać wyłącznie za pomocą siły. Dlatego komunizm wznosił się na wyżyny sztuki manipulacji, rozwijając laboratoria broni psychotronicznej, eksperymentując z hipnozą, rozwijając techniki manipulacji oparte o psychologię poznawczą oraz psychologię społeczną. Komunistyczne służby specjalne animowały, rozsiewające moralną zgniliznę i ideologię, postępowe grupy literackie czy filozoficzne oraz utrzymywały całe siatki agentury wpływu, które stosowały zaawansowane techniki manipulacji informacją barwnie opisane w słynnej powieści Władimira Volkoffa „Montaż”.

Jedna z najciekawszych technik manipulacji, opisanych w powieści Volkoffa, nosi nazwę „trójkąt” i polega na doprowadzeniu do sytuacji, w której rząd danego kraju zostaje opuszczony przez społeczne elity, poprzez wzbudzenie w owych elitach poczucia winy. Warunkiem powodzenia tej techniki jest zrozumienie danej społeczności lepiej, niż rozumie ona siebie samą. Trudno uniknąć skojarzeń z polską sytuacją, gdzie od czasów powojennych elity zmagają się z syndromem historycznego poczucia winy (np. winy za powstanie warszawskie) a jednocześnie kompulsywnie zwalczają narodowy

kompleks ofiary (np. ofiary zbrodni katyńskiej). Również za czasów prezydentury Lecha Kaczyńskiego i tuż po jego śmierci ukazywały się w prasie krajowej i zagranicznej pisane przez wpływowych pisarzy i publicystów niezliczone artykuły o narodowej megalomanii, jałowym machaniu szabelką, czy odgrzewaniu mesjanistycznych mitów ofiary.

W tej perspektywie problemem polityki Lecha Kaczyńskiego wobec Rosji była właśnie podatność na uruchomienie syndromu ofiary, co Rosjanie skutecznie wykorzystywali odmawiając uznania zasadności zaskarżenia umorzenia śledztwa katyńskiego przez polskich obywateli. Wówczas jednak okazało się, że najskuteczniejszym narzędziem walki z taką manipulacją, jest po prostu wejście na drogę sporu prawnego i wygranie sprawy w Trybunale Praw Człowieka w Strasburgu. Jednak problem pojawiał się również na bardziej generalnym poziomie, mianowicie w dążeniu do zbudowania relacji z Rosją na prawdzie, a w szczególności na prawdzie o zbrodni katyńskiej. Problem nie tyle leżał w słuszności tego rodzaju dążeń, bo jest ona z naszej perspektywy oczywista, co raczej w niemożności przekonania do tego Rosjan. Istnieje bowiem poważne przypuszczenie, że Rosjanie tak pojętej prawdy po prostu nie rozumieją.

POLSKA PRAWDA A ROSYJSKI RELATYWIZM

Polski sposób myślenia – którego przedstawicielem był także Lech Kaczyński - jest silnie zakorzeniony w filozofii tomistycznej. Jego fundamentem jest przekonanie, że rzeczywistość może być co prawda widziana z różnych perspektyw, ale zawsze jest to ta sama rzeczywistość. Innymi słowy, odsłonięcie, opisanie istotnych faktów historycznych jest warunkiem zbudowania płaszczyzny prawdy historycznej, na której powinny zostać oparte możliwie partnerskie relacje sąsiedzkie. Również wywiedzione z prawa naturalnego zasady sprawiedliwości są takie same dla wszystkich – małych i dużych, słabych i silnych.

Tymczasem w mentalności sowieckiej głęboko zakorzeniony jest relatywizm norm i zasad, które gdzie indziej noszą uniwersalny charakter. Pozwala to Rosjanom wprowadzać w relacje z innymi stałe poczucie niepewności. Lew Gudkow - badacz kolejnych pokoleń ludzi sowieckich – pisze, że w warunkach chronicznej samowoli przełożonych człowiek nigdy nie może polegać na prawidłowym działaniu instytucji formalnych, a to z kolei powoduje zaniżoną samoocenę i brak ufności we własne siły. Chroniczne kompleksy świadomości hierarchicznej kompensowane są przez uczucie przynależności każdej jednostki do czegoś ponadindywidualnego, wielkiego i wyjątkowego - narodu, „dzierżawy” lub imperium. W tym sensie w Rosji społeczeństwo istnieje dla budowy potęgi państwa, a sam Rosjanin niejako stwarzany jest w swojej godności przez bycie elementem potęgi państwowej. Rosjanin wyjęty ze swego państwa zazwyczaj z czasem zatracą swoją tożsamość (np. przywódczyni ukraińskiej opozycji, Julia Tymoszenko, jest Rosjanką).

Pułkownik Edmund Klich zapamiętał zdanie przewodniczącej MAK generał Tatiany Anodiny: „Rosja jest wielka, a Polska to mały kraj”, wypowiedziane w kontekście badania przyczyn katastrofy smoleńskiej. „Dziwiłem się - mówił pułkownik Klich - bo w tej sprawie powinna być równowaga, a nie rozważanie „po wielkości””. Zdziwienie pułkownika nie było uzasadnione, albowiem dochodzenie do prawdy „po wielkości” to właśnie cecha charakterystyczna

mentalności sowieckiej, która wcale nie zniknęła wraz z rozpadem Związku Sowieckiego. Kolejne konferencje MAK tylko potwierdzają jej niezwykłą żywotność.

Wiceprzewodniczący MAK, Aleksiej Morozow stwierdził na konferencji po ogłoszeniu raportu Millera, że już sama obecność generała Andrzeja Błasika w kabinie pilotów była formą nacisku, niezależnie od jego zachowania i wypowiedzanych słów. Natomiast obecność pułkownika Nikołaja Krasnokutskiego na stanowisku kontroli lotów „była obowiązkowa”, niezależnie od tego, że nie miał ona prawa tam być i że wielokrotnie ingerował on w proces podejmowania decyzji przez kierownika lotów podpułkownika Pawła Plusnina, sprowadzając zagrożenie na lądujące w Smoleńsku samoloty - najpierw Il-76, a potem Tu-154. Aleksiej Morozow kilka razy powtórzył również opinię, że zgodnie ze statusem „nieregularnego lotu międzynarodowego” kontrolerzy nie mieli obowiązku podawania precyzyjnych danych. Postępowanie kontrolerów było pochodną statusu lotu. „Sam podjął decyzję - powiedział feralnego ranka 10 kwietnia pułkownik Krasnokutski - niech sam dalej...”. Wywody Morozowa odsyłają nas do rzeczywistości, w której nie istnieją uniwersalne kryteria oceny ludzkiego postępowania. Noszą one bowiem cechy sytuacyjne i hierarchiczne. Przyznanie komuś racji, pozytywna ocena jego działania, nie zależą od obiektywnych kryteriów, a od miejsca, jakie dana osoba zajmuje w hierarchii społecznej. Dobra materialne, prestiż, godność, normy etyczne, zdolności, aspiracje, potrzeby, wsparcie i pomoc rozdzielane są w społeczeństwie zgodnie z pozycją zajmowaną w strukturach władzy. Postępowanie pułkownika Krasnokutskiego uznane zostało za prawidłowe, a nawet obowiązkowe, ponieważ wynika to z jego miejsca w hierarchii wojskowej, a nie z obiektywnej analizy sytuacji. Opisywaną w tym miejscu rzeczywistość mentalną potwierdza późniejszy względem katastrofy awans tego pułkownika na wyższe stanowisko służbowe.

PARTNERSTWO CZY SPARINGPARTNERSTWO ?

Dotychczasowe relacje z Rosją po 1989 r. konsekwentnie budowane były w oparciu o realistyczną doktrynę, której zręby stworzyli autorzy paryskiej „Kultury”, a która swoimi korzeniami sięga jeszcze XVI w. Koncepcja ta, zakładająca, że w polskim interesie leży istnienie między Polską i Rosją pasa niezależnych i przyjaznych nam państw, okazała się jednak w 2007 r. fałszywa. Przynajmniej w ocenie nowego polskiego rządu i większości medialnych komentatorów. W konsekwencji zarówno prezydent Kwaśniewski na kijowskim Majdanie, jak i prezydent Kaczyński na placu w Tbilisii okazali się być rusofobicznymi awanturnikami, owładniętymi prometeistycznym szałem. Natomiast prezydent Komorowski po katastrofie smoleńskiej obdarowujący orderami Rosjan i ich polskich „przyjaciół” okazać się musiał mądrym realistą.

Prezydent Komorowski wpisał się w liczne wówczas głosy, mówiące o głębokiej potrzebie zmiany w relacjach pomiędzy Polską a Rosją. Trudno jednak pozbyć się wrażenia, że te przymilne gesty przyjaźni miały mocno służalczy charakter. Od kilku bowiem dobrych lat, polski rząd kierowany przez Donalda Tuska usilnie lecz bezskutecznie stara się dowieść kwadratury koła, tzn. zabiegał o zbudowanie partnerskich relacji na rosyjskich warunkach. Tymczasem takie partnerstwo w stosunkach polsko-rosyjskich polega na tym, że to strona rosyjska wciąga nas w niekończące się spory, w toku których musimy udowadniać swoje racje, prosić o

poświadczenie prawdy, domagać się ujawnienia lub przekazania dokumentów, jednym słowem stawiać się w roli petenta. Rosja natomiast rezerwuje dla siebie rolę suwerena, który albo nasze oczekiwania uwzględni, albo je odrzuci.

Jak mówi prof. Włodzimierz Marciniak, tak uprawiane partnerstwo stanowi w istocie sparing i dlatego lepiej będzie mówić o sparingpartnerstwie.

Zasadnicza użyteczność sparingu dla Rosji polega na tym, że obniża on status Polski poniżej naszych osiągnięć, możliwości i ambicji, podwyższając zarazem status słabego rosyjskiego państwa postkomunistycznego do rangi państwa silniejszego, które dzięki budowanemu w partnerstwie z Polską wizerunkowi mocarstwa może poszukiwać na arenie międzynarodowej silniejszego od siebie sojusznika. Problem polega również na tym, że wielu polskich polityków lubi sparing. Widocznie pozycja podporządkowana mentalnie im odpowiada. Sparing ma bowiem tę zaletę, że oprócz boksowania zakłada także dopuszczanie bliżej, zapraszanie do wspólnego świętowania, czułe objęcia i wzajemne ocieplanie wizerunku, co zawsze można przedstawiać jako sukces.

Sukcesy rzekomo wolnej od historycznych kompleksów Polski na drodze do partnerstwa z Rosją są jednak trudno dostrzegalne.

Dużo łatwiej można pokazać rosyjskie sukcesy w egzekwowaniu od rządu Donalda Tuska oczekiwanej spolegliwości. Są to m. in.: wycofanie sporu o mięso produkowane w Polsce ze szczebla unijnego na poziom bilateralny i uwarunkowanie jego wwozu do Rosji absurdalną biurokracją, pozostawienie samotnej Litwy w jej próbach warunkowego zatrzymania negocjacji umowy partnerskiej UE-Rosja, rezygnacja z przekopania Mierzei Wiślanej w zamian za ponowne otwarcie cieśniny pilawskiej przez Rosję, ale za każdorazową jej zgodą, bezprawne odcięcie od informacji kancelarii prezydenta Kaczyńskiego przez MSZ i jednostronne uzgadnianie wspólnych obchodów katyńskich z Rosjanami, oddanie Gazpromowi faktycznej kontroli nad gazociągiem Jamał i rezygnacja z zaległych opłat przesyłowych, brak reakcji na sprzedaż Rosji przez Francję wielozadaniowych okrętów desantowych typu Mistral, czy wreszcie faktyczne przyjęcie polityki historycznej Putina (milczenie ws. zbrodni na Polakach w latach 30., faktyczne uznanie Katynia za część wielkiej czystki, uznana przez min. Sikorskiego symetria między Katyniem, a śmiercią rosyjskich jeńców w 1920 r., absurdalny pomnik ku czci czerwonoarmistów w Ossowie). Jest to tylko część z długiej listy faktycznych szkód wyrządzonych przez ekipę Tuska, która niemal całą polską politykę zewnętrzną podporządkowała wewnętrznym rozgrywkom i własnej popularności. Świadomie nie wymieniam wydarzeń dwuznacznych takich, jak wizyta premiera Putina na Westerplatte, czy bezprecedensowe zaproszenie ministra Ławrowa na naradę polskich ambasadorów. Nie mówię też o oczywistych zaniechaniach, które można by dziś – w czasach „znakomitej atmosfery” - nadrobić. Wszak w Rosyjskim Państwowym Archiwum Wojskowym w Moskwie wciąż spoczywa archiwum Legionów Polskich, całe niemal archiwum wywiadu II RP, archiwum rządu, Sejmu czy nawet Kancelarii Prymasów Polski. Ale za kompulsywnym parciem do poprawy relacji polsko-rosyjskich kryją się jeszcze dwa inne powody. Po pierwsze, zmiana ta wychodziła też naprzeciw cichemu oczekiwaniu państw zachodnich, dążących do gospodarczego zbliżenia z Rosją. Swoisty „przymus przyjaźni” jest zatem także wynikiem lokajskiej relacji Tuska w stosunku do Angeli Merkel. Podobnie też zainicjowane przez Davida Camerona partnerstwo Wielkiej Brytanii oraz państw skandynawskich i bałtyckich zawiązało się bez udziału Polski. Jednym z motywów powstania tego sojuszu był niepokój wywołany planowanymi zbrojeniami w Rosji (\$800 mld). Tymczasem rząd polski, ustami goszczącego we Francji prezydenta

Komorowskiego, sprzedaż francuskiej (ale także niemieckiej i włoskiej) broni do Rosji pochwała i niczym się nie niepokoi.

Relacje handlowe między Polską a Rosją mają nie większą rangę, niż nasze relacje handlowe z Czechami. A gdyby jeszcze odjąć z wyrażnie ujemnego dla nas bilansu ropę i gaz, rynek rosyjski mógłby dla nas praktycznie nie istnieć. W sensie gospodarczym wojna o warty bodaj 30 mln dolarów rynek mięsa nie miała sensu. Ale przecież nie o handel w niej chodziło, a o zmuszenie państw starej Unii do objęcia ochroną interesów nowych państw członkowskich. Administracja premiera Kaczyńskiego uporem i konsekwencją doprowadziła do sytuacji, w której po szczycie Merkel-Putin w Samarze to Rosja zaczęła być traktowana jako kraj eurofobiczny, choć cena jaką trzeba było za to zapłacić było ugruntowanie opinii kraju rusofobicznego. Obecnie zaś pod oświeconym kierownictwem ministra Sikorskiego Polska zyskuje na popularności, bo nie robi kłopotów, tylko skwapliwie – jak to swego czasu ujął prezydent Chirac - „korzysta z okazji by siedzieć cicho”. Ale mimo to upokorzenia bynajmniej się skończyły. Wręcz przeciwnie. Trzy lata temu Rosjanie wprowadzili wizy tranzytowe dla Polaków, przyjaznemu rządowi grozili wycelowaniem w Warszawę głowic balistycznych, rozmieścili w obwodzie Kaliningradzkim rakiety Iskander, mimo, że USA z projektu stacjonarnej tarczy antyrakietowej się wycofały. W ostatnich miesiącach problemy analogiczne do mięsnych, dotknęły polskich eksporterów owoców a także firmy transportowe, po tym jak Rosja zmniejszyła limit pozwoleń przewozowych. Wszystko to jednak niknie w obliczu tego gigantycznego upokorzenia, jakim jest sprawa katastrofy smoleńskiej i dotyczącego niej śledztwa. W kluczowym momencie tuż po katastrofie, gdy Donald Tusk opracowywał strategię wizerunkową, premier Putin opracowywał strategię prawne. Stąd nie jest dziś zaskoczeniem, że to Rosjanie ustalili i narzucili nam reguły prowadzenia dochodzenia. Lot wojskowy w oparciu o konwencję międzynarodową dotyczącą lotów cywilnych badała działająca w konflikcie interesów organizacja powołana przez Wspólnotę Niepodległych Państw (tj. MAK). Jako że nie jest ona podmiotem prawa międzynarodowego przedstawiła ona swoje ustalenia rządowej komisji rosyjskiej, która się z nimi zapoznała, ale oficjalnie ich nie przyjęła. Nie można zatem w tej sprawie nikogo pozwać. Przy okazji również tradycyjnie już okazało się, że Rosjanie zniszczyli ważne dowody (wycięli drzewa, pocięli wrak) a pozostałe kontrolują (czarne skrzynki, czy 5000 elementów z miejsca katastrofy zebranych rękami polskich archeologów) i jakoś nie spieszą się z ich oddaniem.

Irytujące oczekiwanie na przyjazne gesty ze strony Moskwy skończyło się tradycyjnym rosyjskim gestem „nierównej przyjaźni” – upokarzającym siarczystym policzkiem.

Rząd najpierw chował przed Polakami niekorzystne dla Rosjan informacje, potem oburzał się na nierzetelność rosyjskiego raportu, nad przygotowaniem którego nie miał żadnej kontroli, by wreszcie uznać, że wersja, w której winny katastrofie jest pijany polski generał, nie jest aż taka bardzo zła. Okazało się, że rząd Tuska - na krajowym podwórku niezrównany mistrz piaru i gierki mediami - ma tym razem przed sobą nie byle kogo, bo prawdziwego maga manipulacji percepcją. Rosją rządzi i samodzierny jednak ekipa wywodząca się z KGB - służb specjalnych, które tworzenie złudzeń doskonałą od dziesiątek lat. Rosyjski PR ma przy tym swój specyficzny trumienny styl.

Niezależnie zatem od tego, co wydarzyło się 10. IV 2010 w Smoleńsku, skutki tej katastrofy są niebywale korzystne dla Rosji. Po pierwsze, to Rosjanie ustalają warunki prawdziwości raportu z katastrofy i to oni puścili w świat pierwszą, kluczową interpretację tego wydarzenia. Po drugie, to Rosjanie trzymają dziś w ręku przełącznik do temperatury politycznej w Polsce. Udało im się doprowadzić do tego, do czego dążą w Polsce od 300 lat, tj. do podzielenia sceny politycznej i rozniecenia wojny wewnętrznej. Po trzecie, udało im się poniżyć Polskę zarówno w oczach krajów Zachodu, jak i krajów BUMAGI (Białoruś, Ukraina, Mołdawia, Armenia, Gruzja, Azerbejdżan), których politycznym patronem starał się być prezydent Kaczyński. Po czwarte wreszcie, Rosjanom udało się te kraje zastraszyć – wszyscy rozsądni ludzie będą wszak zadawać sobie pytanie, czy był to zamach, czy jednak nie. I nawet jeśli była to zwykła awaria, to niszczenie dowodów przez Rosjan właśnie pozostawieniu takiej niejasności miało służyć. Zza chmury pompatycznej retoryki „równorzędnego partnerstwa” wyłania się zatem obraz upokorzonej Polski stojącej sam na sam wobec Rosji. Łącząc się do Rosji i Niemiec zraziliśmy lub rozczarowaliśmy do siebie większość państw naszego regionu. A przecież nasi regionalni sąsiedzi są naszymi najlepszymi sojusznikami, ponieważ sojusze z nimi nigdy nie będą dla nas egzotycznymi, przetrwanie jednego, zależne jest od przetrwania drugiego. Każde realne ustępstwo z polskiej strony, spotyka się co najwyżej z symbolicznym gestem strony rosyjskiej, bez podjęcia żadnych kroków wiążących ją prawnie. Zwrot w relacjach z Rosją przyniósł nam aplauz niekompetentnych publicystów i pochwały zachodnich dyplomatów, przestępujących z nogi na nogę, w kolejce do rosyjskiego kufra z pieniędzmi. Wszak Europa potrzebuje rynków zbytu, bo jej udział w handlu międzynarodowym systematycznie spada, a konkurencyjność maleje. Jednak konsekwencją tego zwrotu jest powolna utrata szacunku ze strony Amerykanów, niska widoczność polskiego interesu w Europie i brak jakichkolwiek realnych korzyści w relacjach z Moskwą. **Chyba, że mówimy o sukcesach, które zdefiniowali i przedstawili nam do akceptacji sami Rosjanie. Wówczas wszystko staje się sukcesem.**